TEATR NARODOWY

ZAŁOŻONY W ROKU 1765

Aleksander Fredro

ŚLUBY PANIEŃSKIE

Osoby:

Pani Dobrójska	— *IRENA KRASNOWIECKA*
	JOANNA WALTER
Aniela	— *EWA SKARŻANKA*
	ELŻBIETA GAERTNER
Klara	— *EWA ŻUKOWSKA*
	ELŻBIETA GAERTNER
Radost	— *ANDRZEJ SZCZEPKOWSKI* Andrzej Bogucki
	IGOR ŚMIAŁOWSKI
Gustaw	— *DANIEL OLBRYCHSKI* D Damięcki
Albin	— *ANDRZEJ ZAORSKI*
	ANDRZEJ NARDELLI
Jan	— *WILHELM WICHURSKI*

Scenografia
XYMENA ZANIEWSKA

Reżyseria
WŁADYSŁAW KRASNOWIECKI

Muzyka
ANDRZEJ KURYLEWICZ

Sufler
MARIA ROŻAŃSKA

Inspicjent
ALEKSANDER HLAWATY

ALEKSANDER FREDRO

Litografia Lauba z 1828 r.

ALEKSANDER FREDRO O SOBIE

Ziemia przemyska była zdawien dawna gniazdową siedzibą rodziny Fredrów. Urodziłem się w Surochowie pod Jarosławiem w r. 1793 i do szesnastu lat życia uczono mnie ówczesnym trybem szkolnym pod nauczycielem domowym, który to rodzaj edukacji przedkładano nad publiczny pod żadnym względem nie zadawalający moich rodziców. W młodych latach nie okazywałem zdolności do nauki, (...) ta wymagała przede wszystkim pamięci, której nie miałem, a przez to i żadnych korzyści odnieść nie mogłem z udzielonych mi nauk. Usposobienie moje ciche, spokojne, niemal poważne; umysł więcej do smutnych dumań, niż do pustej wesołości skłonny, zyskał mi w rodzinie przydomek młodego staruszka. Miałem lat dwanaście, kiedy pewnego dnia tknęła mnie jakaś myśl i pochwyciwszy kilka białych kart starego regestru, zacząłem pisać komedię. Plan i wykonanie były dziełem jednej chwili natchnienia: niedziela na wsi i państwa nie ma w domu, pojechali w sąsiedztwo, zostały się same dzieci i nudzą się na zabój, bo zapomniano dać im rodzynków i migdałów na bankiet, którego przyrządzanie należy do najmilszych zabaw tego wieku. Cóż tu począć? Jak temu zaradzić? Michał, lokaj przebiegły i łakomy, ofiarowuje się wyprowadzić dziatwę z przykrego położenia i wpada na koncept ubrać się w prześcieradło i udając ducha nieboszczki babki, straszyć starą klucznicę. Przestraszona klucznica oddaje klucze od spiżarni i sama chowa głowę w beczkę mąki. Michał tymczasem gospodarując po spiżarni łapie

co może i pakuje do kieszeni, pamiętając więcej o sobie, niż o dzieciach. Aż tu niespodziewanie nadjeżdżają państwo; duch złapany na gorącym uczynku, ze strachu także chowa głowę w beczkę mąki. Rozwiązanie — sąd moralny — a wszystko pod tytułem *Strach nastraszony*. Próbka ta została mi tylko w przypomnieniu. W parę lat po pierwszej próbie dziecinnego pióra, snuły mi się po głowie drama wielkiego rozmiaru. I tak miał być w jednym bohaterem jenerał Jasiński, o którym zwykle lubił mi wiele rozpowiadać mój guwerner, dawny wojskowy z pod komendy tegoż jenerała. Dramat ten nigdy nie doczekał się końca, ale miał swój plan, spis osób i pierwszą apostrofę do rodzinnej ziemi: „O ty, która!" lub coś podobnego — wtenczas jeszcze ani mi się śniło nawet, że kiedyś przyjdzie mi chęć pisania komedyj.

Nadszedł rok 1809.

Miałem wtedy lat szesnaście i z bardzo miernym zasobem naukowym, obok niejakiej znajomości książek różnej wartości i treści, mianowicie francuskich, uczułem pociąg do stanu wojskowego i wstąpiłem w szeregi wojska Księstwa Warszawskiego, które wkroczyły do Galicji. Odtąd zaczęła się dla mnie szkoła świata, najpraktyczniejsza, najbardziej urozmaicona, a zarazem najponętniejsza ze wszystkich szkół, w jakich się mamy uczyć doświadczenia. Na obcowanie z muzami nie miałem wcale czasu, ani też, będąc żołnierzem, nie tęskniłem za ich towarzystwem; jednakże gdy w niespodziewanej okoliczności błysnął mi promyk natchnienia, mimowolnie brałem się do pióra. Zawsze mnie coś do bazgrania ciągnęło. Tym sposobem w r. 1810 po raz pierwszy dowiedziałem się, że mógłbym składać wiersze. Jakieś zdarzenie, nie pamiętam, czy wesołe, czy smutne, podało mi sposobność do napisania rymów, które latały z rąk do rąk i zarobiły w moim pułku na niesłychane pochwały. Jeden tylko ze światlejszych kolegów zrobił mi uwagę, że w wielu wierszach brakuje średniówki.

— Średniówki? — zapytałem zdziwiony — nigdy o niej nie słyszałem.

Kolega podjął się wytłumaczyć mi znaczenie średniówki i to była pierwsza lekcja prawideł rymotwórstwa polskiego.

Wypadki polityczne popchnęły niebawem wojska napoleońskie na północ. Odbyłem z nimi tę najsroższą kampanię, mogę powiedzieć szczęśliwiej, niż krocie innych rodaków, co śmierć znaleźli w śniegach, lub na dnie Berezyny: dostałem się bowiem do niewoli i jako jeniec przebywałem w Wilnie, skąd udało mi się wymknąć i przebijając się samopas, stanąć na nowo w szeregach armii w czasie zawieszenia broni w Dreznie.

Z rejterującym a staczającym po drodze krwawe bitwy Napoleonem, doszedłem do Paryża i pobytowi w tej stolicy winien jestem poznanie teatru francuskiego, który zrobił na mnie nieopisane wrażenie, odpowiednie memu wewnętrznemu usposobieniu, a przy tem całkiem nowe; Lwów bowiem nie miał wtedy stałej, polskiej sceny, a jeżeli bywałem niekiedy na przedstawieniach teatralnych, to najczęściej wykonywali je amatorowie, a tak nie mogłem mieć jasnego pojęcia o tej potędze sztuki.

Tragedia francuska, lubo szczyciła się wówczas królem tragików, Talmą, znalazła mię prawie obojętnym widzem. Przesadna deklamacja, ruchy konwencjonalne, monotonia aleksandrynów, ziębiąca wszelkie ciepło, w ogóle nie mogła mi się podobać, nic nie wiedzącemu o trzech jednościach. Przeciwnie, wodewil, komedia, wprawiały mnie w zachwycenie. Pierwszy raz widziałem tam skończonych i dosko-

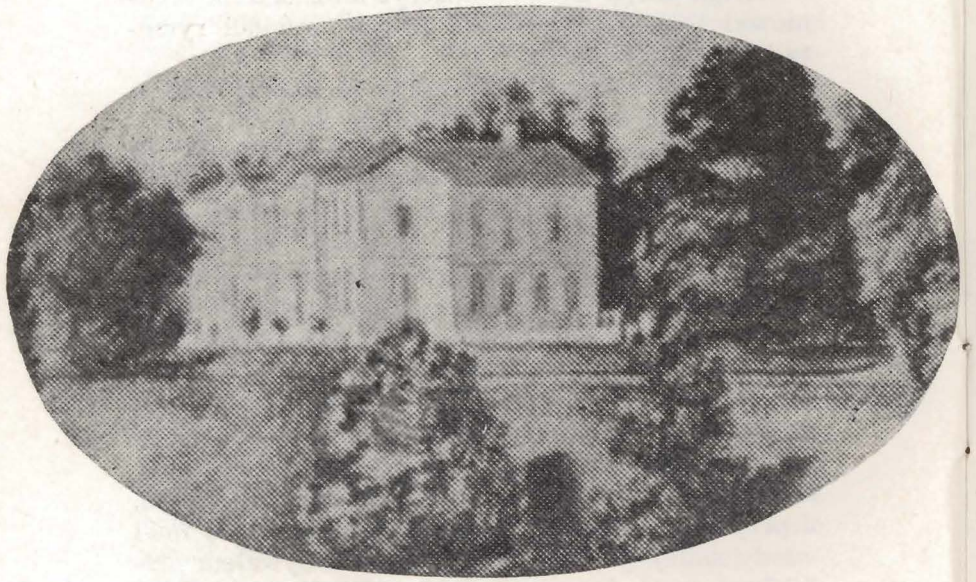

Pałac w Bieńkowej wg akwareli J. Swobody

nałych artystów utrzymujących grą samą najlichsze nieraz ramoty i wtedy to powziąłem przekonanie z czasem, że nie ma dzieła dramatycznego, choćby jak mistrzowsko przeprowadzonego i wykończonego w częściach, któreby się obeszło bez dalszego rozwinięcia i podniesienia dobrą grą aktorów.

Po powrocie resztek wojsk Księstwa Warszawskiego powróciłem i ja do rodzinnego Lwowa, gdzie się znalazłem pośród młodzieży, która razem ze mną opuściła zawód wojskowy. Urok Bohaterstwa, żywe zajęcie się nowością, nadały tej młodzieży pewną udzielność w kołach towarzyskich, tak że ona jedna nadawała ton zabawom, zebraniom się, zgoła codziennemu trybowi życia.

Ujrzałem się w tym wirze i byłem przezeń porwany, a choć wewnętrznie czułem niesmak, a tym samym potrzebę ukazania jak w zwierciadle fizjonomii tego społeczeństwa temu samemu społeczeństwu, aby się zreflektowało i weszło w siebie, nie śmiałem przecież chwycić za pióro, nie mając jeszcze objawienia autorskiego zawodu.

W parę lat później szczęśliwy trafunek sprowadził mi Żyda, antykwariusza, co chodząc po domach z książkami, przyniósł Moliera. Zapłaciłem mu dukata, a zabrałem arcydzieła, dotąd mi prawie obce; bo jedną tylko komedię tego mistrza miałem sposobność widzieć na scenie paryskiej.

Biorąc za przewodnika wzór tak nieśmiertelny, wyraźniej zacząłem pojmować powołanie autora dramatycznego i odtąd wziąłem się do studiów na serio.

Stanisław Schnür Pepłowski. „Z papierów po Fredrze". Kraków 1900. (Tytuł od nas).

NASZ KRAJ

Dźwignąłby się o swej sile,
Bo z letargu kraj się budzi,
Gdyby tylko dziś nie tyle
Było u nas wielkich ludzi.

Do M.

Pocóż, po co Macieju tłomaczyć Rasyna?
Pocóż w otwarte karby twój geniusz się zgina?
Tyś Rasynem Macieju!... Jawnyś dowód złożył,
Gdy chcąc scenę tłomaczyć nowąś scenę stworzył.

RYMOTWÓRSTWO

Nieszczęsne rymotwórstwo! Co tu mądrych głów
Wywróciło koziołka w prozaiczny rów!
A prawdę mówiąc na co te łamane sztuki?
Jeżeli co mądrego w zakresie nauki
Chcesz powiedzieć nareszcie po długim namyśle,
Powiedz obywatelu wyraźnie i ściśle;
Na co się przyda ściągać równobrzmiące słowa,
Jeżeli w nich rozumu utonie połowa.
Piszcie więc poemata, sceniczne utwory,
Lub dla rozweselenia dowcipne humory,
Lecz gdzie trzeba dowodów jak dwa a dwa cztery
Radzę wam strzedz się rymu, strzedz się jak cholery.

ZE WSPOMNIEŃ I ANEGDOT

Nagle odezwał się dzwonek. Ojciec pośpiesznie otworzył drzwi. Do przedpokoju wszedł wysoki, siwy pan.

Ojciec pocałował tego pana w ramię. Sam zdjął mu palto i poprosił do gabinetu. Mama w tej chwili przyniosła kawę i wróciła do kuchni.

Stary długo z ojcem rozmawiał ... Z początku cicho, potem bardzo głośno. Ojciec bardzo się unosił, a siwy pan kiwał tylko głową, ale był spokojny i bardzo poważny. Przez otwarte drzwi widziałem ich doskonale, a zapamiętałem sobie tę wizytę niezwykłą dlatego, że ku swojemu zdumieniu spostrzegłem, że mój ojciec płakał, a ten pan miał także łzy w oczach. To było dla mnie niepojęte. Z jakiego powodu starsi mają płakać, kiedy im wszystko wolno. Po godzinie wyszli z gabinetu. Ojciec odprowadził siwego pana do przedpokoju, znowu go pocałował w ramię i kłaniając się nisko pożegnał. Ja stałem na środku jadalni, trzymając w ręku konia, który wyglądał jak po walce z bykiem.

Ojciec z wielkim ożywieniem zwrócił się do mnie:

— Przyjrzałeś się temu panu?

— Tak.

— Zapamiętaj go sobie, to był pan Fredro.

— Pan Fredro — powtórzyłem chowając konia za plecy. Ojciec przeszedł się parę razy po pokoju, nagle przystanął i znowu zwrócił się do mnie:

— No, i jakiż był ten pan?

— Był bardzo polski — odpowiedziałem.

Ojciec uśmiechnął się i pogłaskał mnie po głowie.

Minęło sporo lat. Kult dla Fredry trwał zawsze. W domu tak przesiąkniętym atmosferą teatru nie mogło być inaczej.

Rozmowy nasze dla zwykłego laika, nieobeznanego z tajemnicami sztuki teatralnej, byłyby zupełnie niezrozumiałe.

Oto przykład:

Ojciec posłał mego brata Józefa po papierosy. Zniecierpliwiony długim oczekiwaniem wychyla głowę z gabinetu i mówi:

— „Długo Papkin coś nie wraca".

— Rzeczywiście — odpowiadam — „Już kaducznie przeszła czwarta".

Za chwilę wchodzi brat.

— „Witamy z podróży — wołam — Szkoda, szkoda, że nie później".

— A bo widzisz — tłumaczy się — wstąpiłem do Zachęty dowiedzieć się, czy jakiegoś mojego obrazu nie sprzedali.

— Twojego? Także coś. „Niechaj o tym już nie słyszę, bo do czubków odwieść każę". Kto by kupił? Ciągle jesteś idiota.

Malarz, niosący papierosy, zatrzymał się w drodze i rzekł z najwyższym oburzeniem:

„Benetowie głupcy byli,
Ty szalejesz, na mą duszę."

Ma się rozumieć, że te dialogi naszpikowane fredrowskimi powiedzeniami odbywały się tylko przy dobrych humorach, ale czyż w wiośnie życia o humor tak trudno?

Upajał nas Fredro przy każdej sposobności. „Śluby", „Zemsta", „Dożywocie" to był nasz katechizm. Fredro był dla nas wzorem staropolskiego humoru. Zawsze świeży i pełen życia.

Jego humor był naszym nieodłącznym towarzyszem. Brać udział we Fredrze to wielkie święto.

Jerzy Leszczyński. „Z pamiętników Aktora". Warszawa 1958

»ŚLUBY PANIEŃSKIE« W OCZACH WSPÓŁCZESNYCH

Publiczność tylko szczerą — miałem po sobie skarżył się Fredro w „Pro memoria"...

Ale dlaczego „tylko" publiczność? Bo — obok stałego i niesłabnącego powodzenia scenicznego sztuk Fredry oficjalna krytyka bardzo długo pokrywała milczeniem wystąpienia autora. Nie zareagowała ani na pierwsze przedstawienia, ani na pierwsze trzy tomy Komedyj, które ukazały się w latach 1826—1830. Dopiero w rok po wyjściu tomu IV (Lwów 1834) tzn. w r. 1835 odezwali się dwaj krytycy: Wincenty Pol i Seweryn Goszczyński.

Pol nie odrazu docenił i zrozumiał Fredrę. Komedie Fredry określa przede wszystkim jako „salonowe", ale... łatwo poznać, że to nasz salon, a nie inny, nasz tylko (...) Ślubom panieńskim przyznaję wysoką rangę — to one są ową komedią w której autor „się poprawił" i wyszedł poza krąg „komedii salonowych": „Arcydziełem wszakże sztuki, koroną tych wszystkich komedii w których Fredro delikatność odcieniów towarzyskich pożycia naszego maluje, do najwyższego ideału posuniętą grą na tej drodze jest Magnetyzm serca. Tryumfuje w niej z jednej strony serce nad urojeniem, z drugiej trafność rozumu i obrotności nad światem bontonii".

Jakże inaczej wyglądała krytyka Seweryna Goszczyńskiego: „Jest ruskie przysłowie, które powiada: nie rodź się pięknym, ale szczęśliwym, jakoby chciało powiedzieć, że częstrokroć przyczyny powodzenia są niewytłumaczone, że nie chęci czyste, nie zasługa prawdziwa, ale zbieg okoliczności, niezależny od woli ludzkiej, wpływają na pomyślność, na chwałę człowieka; duchem tego przysłowia najlepiej da się określić zawód Fredra. Nie jeden znakomity pisarz mógłby zazdrościć tej wziętości, jaką jednały sobie i w jakiej utrzymują się jeszcze dotąd jego komedie; chociaż obejrzane na wszystkie strony, nie pokażą do niej żadnego prawa. Złośliwe bluźnierstwo, zawołają wielbiciele; weź je tylko i czytaj! jaki wiersz gładki, jaki dowcip. Trzeba pękać ze śmiechu na każdej karcie! Prawda, jest to jedyna zaleta, którą ludzie, sądzący z powierzchowności, bronić mogą komedie Fredra przeciw dzisiejszej krytyce; ale i ta nawet broń jest niedostateczna. Wiersz gładki w ogólności nie jest najwyższym poezji warunkiem, a co do Fredra — jego wiersz gładki jest to wymanierowanie języka trybem francuskim, bez oryginalności, bez indywidualnej barwy, bez odcienia charakterów, płynny jak woda, ma też smak wody, nie znajdziesz w nim tej jędrności, tej mocy, tego wdzięku, jakie ujmują w znakomitych naszych pisarzach, prawdziwie po polsku, z prawdziwym talentem piszących; również i dowcip nie stanowi komedii, a tym mniej nie tworzy poety".

Wśród wszystkich zarzutów najboleśniejszy dla Fredry był ostatni: „Nie dotknęliśmy jeszcze narodowości. Że komedie pisane dla narodu powinny schwytywać i wydawać treść jego życia z właściwej swemu powołaniu strony, na to się każdy zgodzi kto przyzna iż komedia nie jest dziecinnym cackiem, ale jednym z najdzielniejszych środków wychowania i ukształcenia narodu; że komedie Fredra nie odpowiadają temu celowi, że są nienarodowe — o tym lepiej niż najdłuższa rozprawa przekona odczytanie ichże samych. Nazwiska polskie nie są tym samym, co charaktery polskie: kilka osób, kilka scen narodowych nie rozleją barwy narodowej na wiersze czterech tomów (...) miłosna strona narodu jest to rys jego kosmopolityczny, a to jest właśnie wszystko, co ma stanowić polskość komedii Fredra; ale cnoty, wady, śmieszności, charaktery pojedyncze, fizjonomia ogólna — zgoła cokolwiek tworzy pomniki prawdziwie narodowej indywidualności, tego na próżno byś tam szukał".

I wreszcie ostatnie twierdzenie Goszczyńskiego: „Trochę czasu, trochę więcej oświaty, a będziemy skąpsi w oklaskach dla komedii takich, jakimi są Fredrowe".

Przepowiednia Goszczyńskiego na szczęście nie sprawdziła się; jeszcze za życia Fredry odezwały się głosy poważnych krytyków, którzy oddali sprawiedliwość sędziwemu poecie. Zanim się jednak tego doczekał, musiał on przeżyć jeszcze jeden dotkliwy cios krytyki, która wyszła prawdopodobnie spod pióra Leszka Dunin-Borkowskiego. W roku 1842 w poznańskim „Tygodniku Literackim" ogłoszono anonimowy artykuł pt. Uwagi ogólne nad Literaturą w Galicji, który w ustępie poświęconym Fredrze był właściwie obrzydliwym paszkwilem. Wiemy, że autor po tym ataku zamilkł i w ciągu następnych 15 lat nie napisał już ani jednej komedii.

Jeszcze w tym samym roku 1842 ukazało się studium J. I. Kraszewskiego na temat dramatu w Polsce, w którym autor wiele uwagi poświęcił także Fredrze. Ten sąd Kraszewskiego był zwiastunem nowego i sprawiedliwego spojrzenia „uczonej krytyki" na twórczość Aleksandra Fredry: „Komedie Fredry, jakkolwiek nieskończoną ilość błędów, przesadę, wpadanie w gminność, zbytek poetyczności itd. dojrzeć w nich łatwo i namacać można, są dziełem wielkiego talentu i zostaną w naszej literaturze. W nich tyle jest postaci naszych własnych, tyle prawdy, tyle prawdziwej komiczności, tak silnie one każdego widza poruszają przypomnieniem żywego, własnego świata, że pomimo licznych wad, jakie w nich wszyscy widzą, i sam autor zapewne, nikt

im nie odmówi pierwszego miejsca w naszej literaturze, zresztą bardzo ubogiej. Niech mi wybaczą autorzy *Barbary, Ludgardy, Mnicha* (Alojzy Feliński — *Barbara Radziwiłłówna,* Ludwik Kropiński — *Ludgarda* i Józef Korzeniowski — *Mnich*) nawet; ale Fredro jeden ich wszystkich przeżyje, choć oni są prawidłowi, niepokalani arcymistrze w swej sztuce, szkoda tylko, że nie mają prawdy życia, którą ma Fredro, (...) Za mało dziś w miarę swej wartości znany, za mało ceniony albo — powiedzmy — nie oceniony zupełnie; później zapewne odbierze sprawiedliwość, od wnuków".

Doczekał się Fredro tej zapowiedzianej sprawiedliwości: 26 marca 1865 r. „dobrze zasłużonemu w narodzie", wręczono medal pamiątkowy wybity na jego cześć, a w dołączonym doń dyplomie czytamy m.in.:

„Czyny, myśli i cnoty zasłużonych mężów w Narodzie są tym jasnym zwierciadłem dziejowym, w którym Naród się widzi i do uczucia narodowej godności przychodzi. Cześć należna oddana zasłudze to najwyższe świadectwo powagi i chwały narodowej.

Z tym przekonaniem składamy tę wdzięczności pamiątkę w ręce dobrze zasłużonego, aby świadczyła o jego stanowisku w literaturze polskiej i o uznaniu tych zasług w Narodzie po upływie połowy stulecia". (Cyt. wg „Gazety Narodowej" 1865, nr 71 z 28 marca).

Uroczystość jubileuszową zakończyło wieczorne przedstawienie — *Ślubów panieńskich.*

Krystyna Czajkowska

„Śluby panieńskie" Aniela — Ewa Skarżanka, Gustaw — Daniel Olbrychski

TARG

Miłość twoja braterska coś za droga bratku;
Chcesz mojego majątku i głowy w dodatku;
Ja już wolę nienawiść otwarcie, wzajemnie,
Byleś dał, co ty chciałeś w dodatku odemnie.

DZIEJE HISTORYCZNO—POLITYCZNE

Dzieje historyczno — polityczne,
Rodzeństwo liczne,
Gazety i Mnicha wypłodki prawdziwe,
Gnuśne jak ojciec, jak matka fałszywe.

Tadeusz Boy-Żeleński

O STYLU FREDRY I »ŚLUBACH PANIEŃSKICH«

(...) Oglądać Śluby panieńskie na scenie jest zawsze rozkoszą; wiele musieliby dołożyć starań aktorzy, aby tę rozkosz zamącić. A przy tym ileż teatralnych wspomnień wiąże się z tą sztuką! ... (...) Pamiętam Śluby grane jeszcze niemal jako współczesną komedię; jeżeli się nie mylę, w zwyczajnych sukniach i surdutach w obojętnej ramie jakiegoś banalnego tekturowego pokoju — i grane mimo to znakomicie. O stylu fredrowskim niewiele rozprawiano wtedy, bo ten styl był jeszcze aktorom starszej szkoły czymś bardzo bliskim swą tradycją, w typach, w zacięciu, w traktowaniu wiersza. Naraz — zeszło się to, zdaje mi się, z otwarciem nowego teatru — powiał w gościnny dwór pani Dobrójskiej wietrzyk muzealny. Odkryto mianowicie wówczas, że jest to sztuka par excellence „stylowa"; ustalono ściśle datę, w której rozgrywa się akcja; wypatrzono jakie fotele, kantorki, szpinety mogły stać w pokoju, a miniatury i obrazy wisieć na ścianach; skopiowano wiernie z kostiumologii fryzury panien, rajtroczki Gustawa, halsztuki Albina; słowem każda figura mogła powędrować prosto do Muzeum za gablotkę. I stało się, że na jakiś czas, przy doskonałej i bardzo uczonej stylizacji, zapodział się gdzieś styl Fredry: bo styl Fredry, to przede wszystkim życie; a życie nigdy nie da się odtworzyć za pomocą rzeczy martwych. Pamiętam zwłaszcza jak przez mgłę jedno z najgorszych przedstawień Ślubów jakie w życiu widziałem: z całego wieczoru został mi we wrażeniu tylko jakiś monstrualny kok na głowie Anieli (zapewne bardzo wierny) oraz tupety i kurtki Gustawa, w których stylowe wiercenie kuperkiem pochłonęło całą uwagę utalentowanego artysty. Na szczęście, okres tego neofityzmu stylizacyjnego, w którym rekwizyt przytłaczał autora i poezję minął; nastało szczęśliwe przymierze czy też linia demarkacyjna pomiędzy duchem Fredry a duchem antykwarskim, a rezultatem jego jest ustalenie tego trafnego stylu, który ujmując życie w niedzisiejsze ramy, nie paraliżuje go wszelako i zostawia pole młodości serc pod staroświecczyzną kostiumu.

Młodość! W tym tkwi bodaj czy nie największa część sekretu. Pamiętam także Śluby grane w pierwszorzędnych zespołach, ale w których zsumowane lata obu kochających się par dawały cyfrę zbliżoną do 200, jeżeli nie wyżej; i wtedy, mimo całego wysokiego artyzmu, czegoś brakło przedstawieniu ... jest to jedna z tych sztuk, w których łatwiej pewne braki wykończenia nadrobić młodością niż odwrotnie.

„Czas" 1919, nr 223 (Tytuł artykułu od nas)

Ilustrowała:
Wiesława Maria Koziołkiewicz

Projekt okładki i opracowanie graficzne:
Wiesława Maria Koziołkiewicz

Wydanie IV

Cena zł 10.—

Drukarnia im. Rewolucji Październikowej — Warszawa
Zam. nr 596/71. — 5.000 U-65

5,00 zł